№ 28. Warszawa, dnia 11 Lipca (29 Czerwca) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

I.

Przed dwór Teleszowskiej odoje *) zajechał mały, zgrabny szarabanik. Zgraja psów podwórzowych zobaczywszy obce konie zaczęła ujadać tak przeraźliwie, jak gdyby za chwilę ziemia zapaść się miała. Z szarabanika wyskoczył zręcznie młody mężczyzna. W ruchach jego znać było nie tyle elegancyę, ile pewność siebie; udał się prosto do dworu. Zanim jednak zdążył wejść na schody, prowadzące na ganek, już przed drzwiami stał lokaj wysoki jak tyka z siwiejącymi bokobrodami.

— Czy państwo w domu? — zapytał młody człowiek stanąwszy we drzwiach.

— Pan pojechał przed godzinką konno, wróci prawdopodobnie na podwieczorek.

— Więc nikogo nie ma?

— Jest tylko pani.

— To zameldуj mnie pani!

Rzekłszy to, podał służącemu bilet wizytowy, na którym wyraźnie dużemi literami było wydrukowane: Owanes Ohana.

Lokaj spojrzał przelotnie najprzód na bilet, potem na pana, i w oczach mu błysła jakby wątpliwość jakaś. Stał i przyglądał się gościowi, a wreszcie nie mogąc widocznie wytrzymać, wyjąkał nieśmiało:

— To pan Owanes? Ten sam pan Owanes, co to, co to... — tu się zaciął.

Młody człowiek widząc zakłopotanie służącego, uśmiechnął się życzliwie, mówiąc:

— Ten sam pan Owanes, co to przed dziesięcioma laty wyemigrował z tych okolic. Ten sam, mój stary. No, idź zanieś pani kartę, a ja tu poczekam.

Lokaj jednym susem był już w pokojach. Ohana tymczasem stanął przed lustrem wiszącem w dużym oszklonym ganku, i począł się przeglądać. Przystojny to był mężczyzna. Na oko nie miał więcej nad trzydzieści kilka lat. Wysoki, barczysty, w czarnym tużurku, który go opinał doskonale, mógł uchodzić za uosobienie siły męzkiej. Na twarzy o cerze śniadej, bronzowej prawie przewijał się ten charakterystyczny uśmiech podstępny, którym się wyróżniają z pośród innych ludzi Ormianie i Grecy. Rysy miał regularne, czysto ormiańskie: nos orli zlekka zakrzywiony, usta o delikatnym wykroju, które nawet milczące, zdawały się mówić.

Na wysokie, wypukłe czoło spadała czarna jak smoła z odcieniem fioletowym czupryna gęsta. A w oczach grało życie, to błyskotliwe, ruchliwe życie, co wiruje i burzy się.

Poprawiwszy sobie cokolwiek włosy, usiadł na jednym ze stojących obok wielkiej sofy foteli.

Przez wysokie szyby długich ramowych okien zaglądało słońce i rzucało całe snopy światła na podłogę i ściany. Było tu jasno i wesoło. Na twarzy przystojnego człowieka uśmiech podstępny stopniowo znikał, a przetapiał się w dziwną jakąś rzewność; z oczu czarnych, przymglonych teraz, biło pewne zaniepokojenie, przeświecało coś nieuchwytnie tęsknego.

Powoli na twarzy wesołej rozlało się wzruszenie, a na czoło wystąpiła zaduma.

Po upływie kilku minut we drzwiach ukazał się znowu lokaj stary i otwierając drzwi powiedział.

— Jaśnie pani kazała poprosić pana do salonu; za chwilę sama przyjdzie.

— Dobrze mój stary.

I poszedł za służącym.

Przechodząc przez jadalny pokój i małą bawialnię, gość spoglądał ciekawie na wszystkie sprzęty; znać było po nim, że coś sobie przypomina, coś rozważa. W salonie nie zastał nikogo. Postąpił kilka kroków naprzód i stanął przed fortepianem, przypartym do północnej ściany pokoju. Wodził oczyma na wszystkie strony, przyglądając się meblom i obrazom. Zdawał się znowu badać i porównywać to, na co patrzał, z jakiemś wyobrażeniem idealnem, które miał w sobie.

Po środku salonu stał na dużym dywanie francuzkim okrągły stół, nakryty szalem kaszmirowym; na stole wkoło wysokiej lampy z czerwonym abażurem leżał album suto oprawny w srebrne okładki i jakaś książka ze złoconymi brzegami. Pomiędzy dwoma oknami stała kanapa duża a obok kilka krzeseł i foteli w płóciennych pokrowcach.

U przeciwległej ściany widać było kominek a nad nim widok jakiś górski. Ozdobą salonu było pięć ogromnych weneckich luster. Patrząc na te lustra, mimowoli przychodziła do głowy dziwna myśl: oto zdawało się, że zwierciadła pochwytują niepostrzeżenie wszystko, co się działo w salonie i zatrzymują w sobie.

Ohana stał przy fortepianie, na którym leżał porzucony zeszyt sonat Bethovena i patrzał z niepokojem na zwierciadła, odbijające go ze wszystkich stron. To lustrowanie ich widocznie go drażniło, bo wzrok skierował na okna, przez które widać było odarte z liści drzewa, sterczące na pożółkłej, wypłowiałej trawie. Był to początek wiosny, nic więc dziwnego, że ciemne pnie drzew i brudny kolor pomiętoszonoj trawy sprawiały niemiłe wrażenie.

Wtem uszu jego doleciał odgłos kroków w sąsiednim pokoju, drgnął mocno, lecz zaraz opamiętał się. W jednej chwili skierował się ku drzwiom, w których ukazała się postać jakaś kobieca Była to pani domu.

---

*) Miejsce zabudowane na stepie.

Zobaczywszy młodego człowieka, zawahała się nieco, jakby z obawy przed czemś; trwało to jednak sekundę, gdyż z twarzy jej znikło niebawem zakłopotanie. Zbliżyła się doń szybko i podając mu rękę, rzekła:

— Ach, jaka niespodzianka dla nas! Taki gość rzadki, niezwykły. Jak się pan ma?

— Dobrze, proszę pani, bardzo dobrze.

— Ktoby to poznał, tak pan zmężniał, spoważniał, zmienił się.

— Zmienił się? Czy doprawdy tak dalece zmieniłem się, że nie można mię odrazu poznać?

Powiedział to i spojrzał jej prosto w oczy tym błyskiem płomiennym, który mu się palił w źrenicy.

Na te słowa młoda kobieta zmieszała się nieco i tłómaczyła się niezręcznie:

— Nie, tak dalece, nie. Może są tacy, którzyby pana odrazu nie poznali, ale my?

To zdanie jej się widocznie wyrwało przypadkiem, niechcący, bo na twarz wystąpił mały rumieniec.

— Niechno pan siada — mówiła, — proszę bardzo, mąż zaraz nadejdzie. Pojechał w pole, bo to wiosna się zaczyna, wiosna panie Janie! Przepraszam, ale dawnych znajomych po imieniu zwać się zwykło.

— Słusznie, dawnym zwyczajem, tylko, że to imię nie jest mojem.

— Jakto?

— Jan, Jan to nie Owanes. Zawsze proszę pani będę Owanesem i nigdy nim być nie przestanę.

Gdy to mówił, w oczach mu znowu błysnął płomień, teraz już inny jakiś, ostry.

Młoda kobieta spojrzała nań pytająco.

— Pan zawsze tym samym Ormianinem nieugiętym, ze krwi i kości?

— Tak pani! Tym samym jestem Werenenem, hajem, co to we wszystkiem granic nie widzi, i dla którego niemożliwości nie ma prawie.

Duma mu biła z czoła.

— Widać to po panu. Pan się nie zmienił, zawsze ten sam, ten sam z przed laty dziesięciu.

— I po latach pozostanie tym samym Owanesem.

Tu spojrzał na nią czulej, chciał przeciąć tę mowę, co mu się gwałtem wyrywała z duszy.

— Jakże się państwu powodzi? — Zaczął.

— Tak sobie. Oleś powiada, że dobrze, on zawsze i na wszystko mówi dobrze, ja zaś widzę co innego. Ostatniemi czasy różne wielkie i małe nieszczęścia spadły na Bessarabię. Wie pan, nieurodzaj, susza, ceny małe, i Bóg wie co jeszcze, gnębi naszych obywateli.

— Słyszałem to i podziwiałem energię, jaką się wśród takich klęsk państwo odznaczacie. Myślę jednak, że wszystko na świecie się kończy. Ot ja przyjechałem znowu w te strony, które pod pewnym względem są moją ojczyzną przybraną.

— I na długo pan przyjechał? — zapytała młoda kobieta ciekawie, jakby z niepokojem pewnym.

— Na długo? Na bardzo długo, może na zawsze. Właśnie kupiłem w tych okolicach majątek.

— Jaki? Niceśmy o tem nie słyszeli. O panu chodziły tylko wieści, że pan tam gdzieś na Wschodzie, w Turcyi dorabia się fortuny, że panu się powodzi świetnie.

— To prawda, tam istotnie dorobiłem się pieniędzy, które mi pozwalają prowadzić żywot spokojny.

— A to dobrze, że pan się tu osiedli, będziemy mieli dobrego sąsiada.

Mówiła to z jakąś uciechą wielką, z której sama sobie zdać sprawy nie umiała.

— I który też majątek pan kupił?

— Nikoreszty.

— Te od Sabescu?

— Te same.

— Taki ogromny majątek! To z pana się naprawdę magnat zrobił.

— Nikoreszty, Nikoreszty... Oleś mi mówił, że to jakiś Grek z Odessy kupuje, więc to pan miał być tym bogatym Grekiem? A to osobliwe.

— Tak, pani, to ja byłem tym bogatym Grekiem. Nie miałem czasu sam osobiście przyjechać, więc korzystając ze sposobności załatwiłem to przez mojego towarzysza, Greka.

— I dlaczego pan tutaj kupił majątek? Dlaczego pan nie osiadł gdzieindziej?

— Dlaczego? Już powiedziałem: bo tu chcę odpocząć po trudach, bo tu, tu — zatrzymał się; a potem spojrzawszy jej prosto w oczy swym czarnym, błyszczącym wzrokiem dodał:

— Bo tu ojczyzna mych wspomnień młodzieńczych...

I umilkł. Na twarzy młodej kobiety znikła uciecha, uciecha niewinna, a został cień smutku, jakiegoś tęsknego smutku. Spojrzała na niego łagodnie, a tak szczerze, jakby te wspomnienia, o których przed chwilą napomknął, odżyły w niej.

— To pan nie zapomniał?

— Ja nic nie zapominam; ja pamiętam do śmierci, ja będę pamiętać nawet po śmierci!

— Więc się pan nie ożenił? — pytała dalej.

— Z marzeniami.

I uśmiech mu zawitał delikatny na śniadem obliczu.

— Z marzeniami żyć trudno.

— Trudno, to prawda, ale trzeba, kiedy się musi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



8 Lipca 1896 roku.

Mody letnie zupełnie już ustalone. Zabawa kwiatowa i wielkie wyścigi w Longchamps, nadały im ostateczny charakter. Ogólny krój sukien w niczem się nie odmienił: spódnice zawsze układane od boków w rury, rękawy zawsze rozniesiste, bo choć wielkie balony zaczynają pomału znikać, miejsce ich zastępują szerokie epolety i kokardy ze wstążek, spadające rzęsisto od ramienia. W stanikach wielka panuje rozmaitość, wszystkie prawie otwarte z przodu, mają plastrony z koronki lub jedwabnego muszlinu. Jedne obciśnięte w pas szeroki w rodzaju gorsecika, inne znów z baskiną, poniżej pleców nafałdowaną w rurki. Wiele też pokazuje się staników odmiennych od spódnicy, nagarnirowanych koronką szarą w jaśniejszych lub ciemniejszych odcieniach.

Na wyścigach konnych, w gorący dzień letni najwięcej uważaliśmy sukien z białego lub szarego linonu. W tym linonie widzimy rozmaite odmiany. Jeden zupełnie gładki, inny w rzucik kolorowy, lub w paski przerabiane jedwabiem w żywych odcieniach. Takie suknie przybierają wstążką w odpowiednim kolorze. Jest też linon w bardzo klarowny deseń; pod spód idzie spódniczka jedwabna różowa, lila, zielona lub niebieska.

Biały linon w czarny jedwabny groszek albo w drobne punkciki, szczególniej przypadł do gustu Paryżankom; ożywiają go kokardami ze wstążki różowej lub pąsowej.

Drugą nowość tegoroczną stanowi pika biała w podłużne lub poprzeczne prążki, w gęsią skórkę albo też inny drobny rzucik. Widzimy również piki w różnych jasnych kolorach: blado różowym, szamoa, lilla, błękitnym i zielonkowatym. Na niektórych rzucony groszek czarny.

Żakietki z białej lub szarej piki przyjęte także do odmiennych spódniczek.

Z tkanin wełnianych modna alpaga. Wyrób jej bardzo dziś wydoskonalony. Przerabiana w jedwabny deseń, służy nawet do większego ubrania.

Przejdźmy teraz do sukien z pracowni pani Elizy Petit, odrobionych z gustem prawdziwie artystycznym. Widzimy cały ich zbiór, przygotowany dla zamożnej rodziny, wyjeżdżającej na morskie kąpiele do Trouville. Oto szczegółowy ich opis.

Suknia z gładkiego linonu w kolorze perłowym. Spódniczka marszczona od boków. U dołu nad obrębem idzie wstążka tegoż koloru naszyta w drabinkę czarnym jedwabnym sutaszem. Stanik u dołu namarszczony w cztery wody jedna nad drugą, w górze prawie zupełnie płaski. Rękawy wązkie, od ramion spadają dwa rozniesiste wolanty z koronki szarej, nad nimi pięć pukli z szerokiej wstążki tego jak suknia koloru. Pasek fiołkowy, w odcieniu *dalia* spięty z lewego boku na kokardę. W górze stanik pokryty wielkim kołnierzem koronkowym szczególnego rodzaju. Wtyle zapięty, spada w dwa ostre zęby, z przodu tworzy okrągły ząb, dochodzący poniżej piersi. U szyi zakończa go szeroka fryza koronkowa. Takież mankiety u rękawów.

Druga suknia z materyi *surah* w kolorze heliotropowym. Spódniczka przyfałdowana od boków, obciśnięta paskiem zapiętym na klamerkę złotą. Stanik gładki, jedwabny, koloru zielonkowatego (*vert de mer*). Rękawy szerokie z fularu na tle białem w lila bukiety. Przez wierzch stanika idzie obojczyk lila, wykrojony w górze czworograniasto, od niego spadają na piersi cztery klapki, wycięte w ząb ogarnirowany koronką. Na plecach od tegoż obojczyka idą dwa paski w formie szelek, połączone u stanu. U szyi fryza koronkowa, u rękawów takież mankiety.

Trzecia suknia z bardzo cienkiej alpagi wyrobionej w zygzaki jedwabne, w kolorze piaskowym. Stanik w formie westki (Louis XV)

z gładkiej materyi tegoż koloru. Od pleców do boku spada baskina ułożona w cztery rury (godets). Przody stanika otwarte, długie, oddzielone całkiem od baskiny. Na otworze idą wyłogi z mory w kolorze wydrowym, złożone z trzech klapek danych jedna nad drugą; kołnierz *medicis* morowy, składa się też z pięciu osobnych klapek. Rękawy szerokie, od ramienia spada pięć pukli ze wstążki morowej. Pod spód dany plastron z muszlinu jedwabnego bardzo fantastycznie udrapowany. Na szyi takaż obrożka plisowana, zapięta z boku na rozetę. Rękawy rozcięte u ręki tworzą trzy klapki podbite morą. Pasek morowy obciska stan pod westką.

Piąta suknia fularowa w kolorze habrowym w czarny deseń. Westka z alpagi śmietankowej, w górze otwarta, poniżej spięta na trzy metalowe guziki. Wyłogi u niej szerokie z czarnej materyi. Rękawy bufiaste w górze, od łokcia obcisłe, naszyte czarną gipiurą w wypukły deseń. Przez buffy przechodzą paski z tejże koronki, po cztery na każdym rękawie. Otwór stanika pokrywa wielka kokarda z muszlinu jedwabnego.

Szósta suknia dla młodej panienki, biała muszlinowa, cała zaplisowana w podłuż. Stanik wysoki pod szyję, ujęty w szeroki pas z trzech czarnych koronkowych wstawek, przewłóczonych w odstępach wąziuchną czarną aksamitką. Z boku spada od pasa szarfa z dwóch połączonych wstawek, sięgająca do ziemi, z takimże puklem w górze. U szyi obroża z tejże wstawki, ogarnirowana fryzą tiulową. Z pod obróżki wybiegają na każdy rękaw dwa rzędy pukielków z pojedynczej wstawki, danych jeden nad drugim.

Powiedzmy teraz słówko o kapeluszach. I w tych moda zupełnie ustalona. Wszystkie mają formę piramidalną. Do ubrania ich służą zarówno pióra, wstążki, kwiaty, upięcia z koronki i tiulu. Potrzeba w rzeczy samej, zręcznej ręki, aby ten nadmiar ozdób harmonijnie wyglądał.

Przytaczamy tu kilka kapeluszy, które zwróciły uwagę naszą na kwiatowej zabawie.

Maleńki kapelusik z czarnej klarownej słomki, wokoło girlanda z heliotropu, przypinana rozetami z jedwabnego tiulu. Nad tem wysoka egretka z czterech czarnych piór strusich.

Drugi okrągły z grubo plecionej słomki w kolorze naturalnym. Rondo odwinięte z obu stron, z lewego boku znacznie szersze, na podpięciu bukiet z polnych kwiatów. Główka opasana czarną aksamitką, spiętą z przodu na klamrę z konchy perłowej. Po obu stronach główki, dany pęczek z piór strusich czarnych.

Trzeci kapelusik okrągły ze słomki lila. Rondo z przodu spuszczone na czoło, w tyle nieco odwinięte, w środku wielka rozeta z lilla wstążki, nad nią pióro czarne do góry podniesione. Po bokach ułożona draperya tiulowa w kolorze niewarowym.

Czwarty kapelusz okrągły ze słomy w naturalnym kolorze. Rondo z przodu spuszczone w tyle mocno podniesione. Nad rondem wielki bukiet z róż, powyżej pukle z tiulu koloru słomy.

Dodajmy tu kilka bardzo zgrabnych kapeluszy z pracowni pani Berty Laveille (faubourg St. Honoré Nr 14).

Kapelusz Cannotier słomkowy w kolorze naturalnym, ubrany białym tiulem jedwabnym, objętym czarną aksamitką. Nad tem egretka z ośmiu piór kapłonich w różnych zielonych odcieniach.

Drugi kapelusz słomkowy, w szarym kolorze *Manille*, ubrany różami, z po nad nich wybiega ptak rajski.

Trzeci toczek słomkowy czarny, wkoło idą rozety ze wstążki zielonej, wielki puff biały koronkowy tworzy egretkę.

Czwarta kapotka czarna ze słomki i włosienia, ubrana tiulem czarnym. W środku czarna egretka po jednej stronie pęczek białych piór strusich, po drugiej bukiecik z róż w kilku odcieniach.

Na kostyumy do podróży i na chłodne poranki u morza, przygotowano mnóstwo wełnianych tkanin, w marmurek mieniony w rozmaitych kolorach, kostyum składa się ze spódnicy i krótkiej żakietki spiętej na wielkie guzy z konchy perłowej.

Ukazały się też na rano do morza kostyumy z grubego, jakby żaglowego płótna, w kolorach szarym, granatowym i pąsowym, ubierają je pletnią wełnianą, czarną lub śmietankową.

Seweryna Duchińska.

Dwie postacie kobiece.

Znany turysta Varigny podaje w jednem z ostatnich pism tygodniowych, francuzkich szkic biograficzny dwóch kobiet wybitnych, głośnych — sławnych nawet, wedle słów jego. Jako podróżnik dał już światu Varigny próbki swojego kultu dla wszystkiego ,co amerykańskie, nie dziwi nas też bynajmniej, że i tym razem z takiem namaszczeniem maluje nam te dwa typy kobiece — że w sądach swoich co do praw i tytułów tych pań do wziętości czy sławy, tak doskonale harmonizuje się autor francuzki z pojęciami panującemi wśród społeczności zaoceanowych. Pokazuje się, że turyści są potrochu i poetami także, a wiadomo, że ci ostatni podobnie jak ptacy śpiewają zawsze, gdy ich hałas jakikolwiek do tego pobudzi. A jest tam tego hałasu poddostatkiem. Słychać mianowicie nieustający brzęk przesypywanego złota, piętrzą się gmachy z granitu i żelaza, a w onych gmachach zaledwie pomieścić się mogą akcye, obligacye i tytuły własności. W dalekich panoramach przesuwają się secin y ferm i milionowe stada. Jakże tu oprzeć się ma urokowi takich potęg człowiek dzisiejszy, skoro na jawie oglądać może własnemi oczyma to wszystko, co się onego czasu tylko w snach rozkosznych i przy pomocy Alladynowej lampy widywało.

Te dwie kobiety o których mówi Varigny to: Mrs. Hetty Green uważana za najbogatszą obywatelkę Nowego-Jorku i senora Cousino, Chilijka, uznana jako najbogatsza niewiasta naszej planety.

Zacznijmy od opowiedzenia wszystkiego, czego nas o tej pierwszej naucza pan Varigny.

Urodziła się ona w Bedfort stanie Massachussets, ojcem jej był Edward Morton Robinson; matka z domu Howland miała ojcem bogatego armatora. Oboje rodzice pani Green należeli do sekty Kwakrów, ztąd wielka prostota obyczaju domowego, w którym wzrastała córka — ztąd jako następstwo jej zamiłowanie oszczędności, które o ile wnosić wolno z krótkiej biograficzne wzmianki, przerodziło się w namiętność gromadzenia.

Jako jedynaczka weszła w świat Nowo-Jorski pod opieką kuzynki swojej mrs. Grinell, a że uchodziła już za partyą wyjątkową, a była przytem piękna, więc zaroił się dokoła niej tłum aspirantów. Nie bardzo to oddziaływało na powabną milionerkę — nie spieszyła się ona z wyborem męża, zwłaszcza, że w tej porze przypadła śmierć ojca, który pozostawił do jej rozporządzenia sumkę okrągłą wynoszącą coś około 10 milionów dolarów. Wycofała się wskutek tego spadku z życia towarzyskiego, a zajęła umieszczeniem owych milionów swoich wedle własnego sposobu widzenia rzeczy, lokacye bowiem ojcowskie wydały jej się zbyt ryzykownemi. Tutaj złożyła dowody wyjątkowego uzdolnienia administracyjnego — nieledwie że talentu, który miał jej imię później rozsławić tak szeroko na amerykańskim kontynencie. Zaledwie załatwiła te wszystkie kłopoty, przypadł na nią drugi tej samej natury ambaras, pod postacią spadku po ciotce jakiejś, a tu znowu chodziło o 4 zgórą miliony dolarów. Nie było to jednak tak bezsporne jak dziedzictwo ojcowskie; znalazły się zaprzeczenia i procesy ze strony familii, ale ponieważ piękna panna znała wartość dolara, a własnych dolarów miała nie dosyć, ponieważ umiała praw swoich bronić, ostatecznie zwyciężyła w tym pojedynku. Gdy ukończyła te swoje zapasy, miała już zdecydowanych lat 30.

Zabiegi o pozyskanie ręki milionerki nie ustawały rozumie się, ale teraz zbrojną już była pretendentka do małżeństwa w całe potrzebne do tego rodzaju wyboru doświadczenie życiowe, wybrała też w myśl wypielęgnowanego w duszy ideału mężczyzny, a traf przyszedł jej z pomocą ułatwiając zadanie samo.

Był sobie niejaki Edward Green, którego karyera nawskroś amerykańska stawiała w szeregu kandydatów. Ubogi zupełnie postanowił on szukać fortuny, gdzie się da, i znalazł ją nakoniec na wyspach Filipińskich, zkąd powrócił z jakimś mniej więcej milionem dolarów. Był tedy pretendentem seryo, ale znowu wyjątkowo nie przemawiało za nim nic, i potrzeba było przypadku, prostej pomyłki, aby mógł zająć w sercu miss Robinson stanowisko uprzywilejowane. Tak się też stało. Master Green wyprawiając pewnego dnia massę korespondencyi zamienił koperty dwóch listów.

Jakieś kilka słów obojętnych pisanych do panny Green, dostały się krawcowi, a rachunek obcięty bardzo surowo wraz z czekiem na tę zredukowaną należność, odebrała do rąk własnych piękna milionerka. Rozumie się, że „zbudziło się w niej serce" w jednej chwili — musiało się zbudzić. Człowiek mający milion dolarów, a przepoławiający rachunek krawca; tak porządny i systematyczny przytem w czynnościach, że na ten dług posyłał zarazem czek do banku, człowiek taki wydał się jak raz kandydatem opatrznościowym.

W parę miesięcy szczęśliwy roztargniony został szczęśliwym małżonkiem, podpisawszy intercyzę, która była także w swoim rodzaju arcydziełem kwakiersko-handlarsko amerykańskiego ducha jego współmałżonki. Master Green brał na siebie zaspakajanie wszystkich potrzeb żony i jej ewentualnych dzieci, zobowiązywał się nie żądać nigdy od niej przykładania się do kosztów utrzymania domu, a nadewszystko nie pytać ani

wglądać w jej interesa majątkowe. Fortuna pani Green w chwili zawierania małżeństwa i spisywania tej intercyzy wynosiła już 25 milionów dolarów. Związek tego miliona z tymi 25 milionami dał życie dwojgu potomstwa, ale wkrótce od tej całej szczęśliwości przeniósł się p. Green do lepszego życia, jak się to mówi u nas, chociaż lepszego wyobrazić sobie niepodobna, a wdowa objęła kierunek wszystkich spraw majątkowych, które pod jej umiejętnym zarządem rozkwitły na podziw najśmielszych spekulantów nowego świata, a tych zadziwić niełatwo przecież, jak wiedzą wszyscy. Na giełdzie jej operacye zgóry są uważane jako niepomylne, a więc akcye, domy, obligacye kolejowe, fermy i sumy hipoteczne wzrastają i mnożą się w postępie tak nieprawdopodobnym, iż dzisiaj już najsurowsi taksatorowie oceniają tę fortunę na 60 milionów dolarów, a inni umiarkowańsi w sądach na sumę o wiele wyższą.

Znają mieszkańcy Nowego-Jorku tę postać kobiecą o surowych rysach i skromnem ubraniu, znają ją, bo spotykają codziennie, gdy po giełdowej godzinie idzie pieszo przez most Brooklyn; dorożki, a nawet tramwaja nie używa pani Green prawie nigdy. Przy tym moście ujrzał ją właśnie Varigny i to w chwili, gdy z mozołem podnosiła z ziemi 5 pensów upuszczonych, które miała przeznaczone na opłatę za przejście.

Koszta utrzymania tego kwakierskiego domu nie przenoszą rocznie czterech tysięcy dolarów.

Rażące przeciwieństwo z tą, którąśmy opisali powyżej — rażące pod względem pochodzenia, sposobu zarządzania fortuną, przyjętego trybu życia — wszystkiego jednem słowem co charakteryzuje istotę ludzką, stanowi ta druga wymieniona obok niej na początku naszej sprawozdawczej wzmianki.

Senora Cousino była jedynaczką bardzo bogatego domu i poślubiła człowieka równej zamożności. Różniły się od siebie te dwie wielkie fortuny tem jedynie, że z jednej strony były wielkie dobra, a z drugiej odpowiednie kapitały. I tu umarł mąż wcześniej, a massa spadkowa, którą objąć miały w posiadanie matka i dwie córki Pacifica i Isadora, łącząc cały majątek małżonków, wynosiła w chwili śmierci ojca rodziny 140 milionów dolarów. Zamieniamy umyślnie stopę pieniężną Południa na dolary dla porównania z majątkiem p. Green. Są więc i tutaj statki, koleje, dobra, kopalnie, stada niezliczone i t. d., i t. d.

Jeśliby zaś komu szczegóły jakieś koniecznie były potrzebne, to możemy go na słowo p. Varigny'ego zapewnić, że same kopalnie węgla tej milionerki dają rocznego dochodu milion dolarów.

Pod względem umiejętnego zarządzania fortuną nie ustępuje Senora Cusino tamtej Nowo-Jorskiej bogaczce, ale to wszystko inaczej się tu zupełnie objawia. Jest ryzykowniejszą ta mieszkanka Południa, może i bardziej rzutką od tamtej, ale też dziedzictwo krwi, które przyniosła na świat daje znać o sobie w każdej czynności i przejawia się w całym trybie jej życia. Senora Cousino jest rozrzutną niesłychanie, tak rozrzutną, iż zadziwia to wszystkich, że jej fortuna nie ucierpiała na tem do tej pory. Pokazuje się, że rozmiary tych dostatków przechodzą nawet jej dobre chęci. Jako przykład przytacza Varigny ugoszczenie eskadry amerykańskiej, gdy ta zawitała do Valparaiso. Zaproszony admirał wraz z oficerami tak hojnie i despotycznie podejmowani byli w stolicy, że niepodobna im było cokolwiek kupić na mieście, aby rachunek nie był odesłany do administracyi tej fantastycznej pani.

Tak charakteryzuje te obie kobiety francuzki turysta. Użyliśmy może nie dosyć trafnego wyrażenia, bo charakterystyka co innego właściwie oznacza. On tylko oblicza, rzuca cyframi, chce olśnić ilością złota, jak gdyby wyobraźnia jego własna lubowała się temi kolumnami dodanych cyfr i tych milionów mnożonych przez tysiące. Szczególny wiek — szczególne ideały! A obok tego ani jednego aktu miłosierdzia, ani jednego drgnięcia kobiecego serca.

Może te kobiety nie są wreszcie takiemi, jakiemi je Varigny odmalował, ale jeśli są... to w każdym razie bez jednej krytycznej ze swojej strony uwagi, pokazał nam w brylantowej oprawie tylko zbieraczkę i tylko rozrzutnicę.

K.

Luźne kartki z Węgier.

I.

Wrażenie Budapesztu.

Wjeżdżając do stolicy kraju, który święci tysiąclecie istnienia politycznego, należałoby się spodziewać jakiegoś grodu, pokrytego pleśnią wieków, ozdobionego pamiątkami licznych pokoleń.

Ale zamiast starych kościołów, pałaców i pomników, widzi zdziwiony turysta w Budapeszcie, w głównej części miasta szerokie ulice, tramwaje elektryczne, bardzo świeże, wczoraj zbudowane hotele, restauracye, kawiarnie i szeregi nowych domów, słowem — miasto młode, nowożytne, pozbawione zupełnie cech starożytności.

Bo dzisiejsza stolica Węgier jest jako stolica w istocie miastem bardzo młodem. Aż do panowania królów z domu Andegaweńskiego nie mieli władcy ludu madziarskiego stałego grodu, przenosząc się z miejsca na miejsce, stosownie do tego, z której strony trzeba było bronić granic państwa przeciw ciągłym najazdom zazdrosnych sąsiadów. Dopiero Charobert (Karol Robert) Andegaweński zerwał z tradycyami koczowniczemi królów rasy węgierskiej, i utrwalił stolicę na wzgórzu po prawym brzegu Dunaju, na którem Bela IV wystawił zamek warowny, nazwawszy go Budą (na pamiątkę Budy, jednego z braci Arpada).

Odtąd była Buda rezydencyą królów węgierskich i stolicą kraju. Stroili ją podobno monarchowie, lecz co pokój zbudował to niszczyła wojna. W krwawych zapasach z Mongołami i Turkami zginęły prawie wszystkie pamiątki świetnej epoki cesarza Zygmunta i Macieja Korwina.

U stóp Budy, po drugiej, lewej stronie Dunaju, rozłożyło się w czasach bardzo dawnych miasto inne, znane pod nazwą Pesztu. Była to kupa brudnych domów, nawiedzanych często przez powódź, a zamieszkanych przez ludność uboższą.

Niepokojeni ciągle przez Mongołów, Turków i Niemców, podawani przez kilka wieków z rąk do rąk, wcielani to do Turcyi, to do Austryi, nie mieli Węgrzy ani czasu, ani ochoty do ozdabiania swojej stolicy. Właściwa ich działalność wewnętrzna zaczyna się dopiero w chwili najnowszej, po uroczystych zaślubinach z Austryą (Austro-Węgry). Uzyskawszy autonomię polityczną, zabrali się Węgrzy z gorączkowym pośpiechem do pracy organicznej. Zrobili oni w przeciągu lat trzydziestu więcej, aniżeli inne narody przez cały wiek.

Z dwóch miast, Buda i Pesth, połączonych wspaniałym mostem, powstało jedno — Budapeszt, a miasto świeże, czyste, jasne, pełne ruchu i życia. Pousuwano wszystkie gruzy, stare mury, resztki bram, ruin i wystawiono gród nowy, nie różniący się niczem od większych stolic europejskich, podobny najwięcej do Berlina, korzystniej tylko od niego położony. Bo modrej wstęgi Dunaju i wspaniałego wzgórza, panującego nad Pesztem, nie mogły wojny Węgrom zabrać. Ta modra wstęga i to wzgórze (Buda) czynią z Budapesztu jedno z najpiękniejszych miast Europy środkowej. Zwłaszcza wieczorem, gdy krocie świateł rozbłysną na ciemnem tle nocy, robi Budapeszt wrażenie prześlicznej panoramy.

Na ulicach stolicy węgierskiej spodziewa się turysta typów węgierskich, owych butnych, przysadzistych postaci z podkręconym wąsem, z rysami wschodnimi, znanych z portretów i z wiedeńskich pism humorystycznych. Tu i owdzie przesuwa się w istocie dziarski „Madziar," ale tych Madziarów spotyka się tak mało w gminie Budapesztu, iż rozpływają się prawie bez śladu w masie jakichś figur zatartych, międzynarodowych.

Nikt nie szuka typów wybitnych wśród ludności stolic europejskich, do których spływają najróżnorodniejsze żywioły, wszędzie jednak, czy w Paryżu, czy w Rzymie, w Berlinie albo Warszawie przeważa pierwiastek miejscowy. Tylko w stolicy węgierskiej widać najmniej Węgrów.

Siedziałem rozmyślnie na jednej z głównych ulic pod werendą jakiejś kawiarni, aby się Węgrom dobrze przypatrzeć. Przepływała obok mnie bezustannie ruchliwa fala — była to niedziela — ciągnęły tłumy, mężczyzni i kobiety, starzy i młodzi, wyrostki i dzieci, ale w tej masie głów węgierskich rysowało się najmniej typów węgierskich. Widziałem mnóstwo żydów przebranych po europejsku, dużo fizyognomii słowiańskich i niemieckich, przypominających „fiakrów" wiedeńskich, i dużo jakichś figur niewyraźnych, podobnych do naszego motłochu podmiejskiego, który, zdjąwszy z siebie wczoraj siermięgę, przyodział się w znoszone suknie sklepów tandeciarskich.

Dziwnie nędznie wygląda gmin stolicy węgierskiej. Drobny, szczupły, nikły, jakby zagłodzony, nie robi on bynajmniej wrażenia zdrowia i siły. Mimo to jest ruchliwy, jak proletaryat włoski i widocznie z siebie bardzo zadowolony, bo śmieje się wesoło, szczerze i nosi na głowie z fantazyą kapelusz wytarty.

I owych pięknych Węgierek, o których się w domu tyle słyszy, szuka oko turysty daremnie na ulicach Budapesztu. U nas w Warszawie spotyka się właśnie w niedzielę mnóstwo ładnych buziaków. Gdy się w świąteczny dzień pogodny nasza ludność uboższa wyroi na miasto, mają oczy prawdziwą biesiadę. Co trzecia kobieta bywa przystojna, a prawie każda jest „szykowna." Widzi się to dopiero, gdy się wraca do kraju z dalszej podróży. W Budapeszcie przejdzie tysiąc dziewcząt, zanim warto spojrzeć na jedną.

Pytam jednego z redaktorów węgierskich: „Gdzie podziewacie wasze ładne dziewczęta?” A on na to: „Zabiera je nam Wiedeń. Nasze piękności chowają się na eksport...” Musi tak być, bo ich w Budapeszcie, wśród gminu, prawie wcale nie ma.

Typy węgierskie spotyka się na koźle ekwipażów, w bramach pałaców, gmachów publicznych, muzeów, przed wejściem na wystawę, słowem wszędzie, gdzie się cudzoziemiec ociera o Węgrów. Udekorowano niemi widocznie rozmyślnie posterunki, rzucające się w oczy. Pandurów, pachołków miejskich, pełniących służbę w ratuszu, dobrano tak starannie, iż każdy z nich może służyć malarzowi za model do typu węgierskiego. Chłop w chłopa dorodny, krępy, zbudowany doskonale, z śniadą cerą, z oczami ognistemi, z wąsem węgierskim, z miną zdobywcy, przyodziany w barwny, bogaty strój husarski.

Typy węgierskie spotyka się także pod wieczór na placu wystawy, w teatrze i w salonach dygnitarzów. Jest w Budapeszcie mało ładnych Węgierek, ale gdy się która uda, bywa rzeczywiście bardzo piękna: doskonała budowa, kształty zaokrąglone, cera śniadawa, włosy czarne, oczy płomienne, usta pełne, rysy wydatne, wschodnie. Ale typ to jednostajny, bez żadnych prawie odmian. Widzi się ciągle te same twarze.

Dopiero, gdy się weźmie do pomocy statystykę, rozumie się wygląd międzynarodowy ulic Budapesztu. Bo w Węgrzech nie stanowi bynajmniej żywioł madziarski większości. W granicach korony św. Stefana mieszka przeszło 2 miliony Niemców, tyleż Rumunów, 13,000 Włochów, przeszło 5 milionów Słowian różnych odcieni (Słowaków, Kroatów, Serbów, Rusinów), i 200 tysięcy różnych strzępów narodowych (Armeńczyków, Bułgarów, Cyganów i t. d.). Na żywioł panujący przypada tylko 7 milionów, wliczywszy w tę cyfrę Żydów i Niemców mówiących po węgiersku. A Madziarowie nie umieli zasymilować mnogich plemion mimo rządów tysiącoletnich. Narodowości obce osiadłe od wieków na ziemi, zdobytej przez Arpada, wydartej Słowianom, zachowały nietylko swoją odrębność rasową, lecz nie chcą nawet dotąd uznać prymatu Węgrów, o czem świadczą ciągłe spory narodowe, wszczynane przy każdej sposobności. Madziarowie szczycą się swoją tolerancyą. Jest to jednak tolerancya z konieczności, większość bowiem poddanych korony św. Stefana nie zniosłaby spokojnie nacisku mniejszości.

Jak wszędzie, cisną się i w Węgrzech wszystkie żywioły ruchliwsze, szukające zarobku i karyery, do stolicy. Ztąd ów dziwnie niejednolity, międzynarodowy wygląd Budapesztu, owa mieszanina ras, która nie zdążyła się jeszcze do tego stopnia zmięszać, iżby mogła wytworzyć osobbny, własny typ, jak Wiedeń, Paryż i t. d.

Przewaga żywiołu panującego ciąży na reszcie ludności właściwie dopiero od lat trzydziestu. W czasie tym wchłonął on już w siebie mnóstwo Żydów i Niemców. Jeżeli ta przewaga potrwa dłużej, zwiększy się oczywiście procent Madziarów, wszelkie bowiem powodzenie posiada moc asymilacyjną. Tymczasem jednak należy szukać typów węgierskich nie w Budapeszcie, lecz głównie po wsiach, w rozległej równinie Alfoeld, bogatej w pastwiska i urodzajne łany. Tam siedzą potomkowie owych zdobywców, którzy przyszli z Arpadem z Azyi i zagarnęli ziemie, należące do plemion słowiańskich.

W stolicy kraju mieszka ludność najróżnorodniejsza, z której się dopiero kiedyś wytworzy jakiś typ jednolity.

Handel spoczywa w Budapeszcie widocznie w ręku żydów, w sklepach bowiem głównych ulic widzi się za kontuarami prawie same tylko dzieci Izraela. Tak ludowi „wybranemu” dobrze i swobodnie w stolicy węgierskiej, że nie zamyka swoich bud nawet w niedzielę podczas nabożeństwa. Wiedeński antisemita, dr. Lueger, przezwał Budapest „Judapestem” (zaraza żydowska).

Liberalizm mieszczański, zapomniany dawno w Europie, jest dziś w Budapeszcie bardzo modny, jak wiadomo. Europejzująca się stolica Węgier nie dba o „zwietrzałe przesądy.” Przebiegłem rozmyślnie kilka kościołów około południa, więc w porze nabożeństwa, i zastałem w nich tak niewielką ilość pobożnych (przeważnie kobiet), iż wypełniłaby zaledwo którykolwiek z naszych wiejskich kościołków. Ale kawiarnie są za to przepełnione. Tych kawiarni jest tak dużo w głównej części miasta, że możnaby niemi obdzielić Warszawę, Lublin, Kielce, Kalisz, Włocławek, Radom, Płock i jeszczeby u nas wszystkie pobankrutowały. A prawie wszędzie gra wieczorem, późno w noc, muzyka wojskowa lub cygańska, i roi się ludność płci obojga. Jest to jeden z rysów, którym się Budapeszt różni od Wiednia. Urocza stolica Habsburgów udaje się za przykładem cesarza Franciszka Józefa wcześnie na spoczynek, zaś Budapeszt bawi się w nocy i hula.

Nie cały oczywiście.

Oprócz Budapesztu nowego, ustrojonego w ogromne, do pałaców podobne kamienice, w szerokie ulice i bulwary, w wspaniałe, świeże, jak z igły zdjęte kawiarnie, hotele i restauracye, jest Budapeszt drugi, stary, cichy, jakby smutny, zapomniany. W tym Budapeszcie, którego nie zdołano jeszcze oczyścić i przebudować, mieszka ów gmin zabiedzony, skarlały, legion małych urzędników, rzemieślników, drobnych kupców i t. d., ów proletaryat wielkomiejski, który karmi się byle czem, ubiera się w tandetę żydowską, dusi się w brudnych, niezdrowych norach, a mimo to śmieje się wesoło, szczerze. Tam nie ma wspaniałych kawiarni z ozdobnemi plafonami i nie grają orkiestry cygańskie. Jest tam cicho po dziesiątej godzinie wieczorem i pusto.

Tego drugiego Budapesztu nie widzą zwykle cudzoziemcy. Tylko ciekawsi przekraczają granice dzielnicy nowej, i dziwią się, iż tyle nędzy żyje obok tak wielkiego, błyskotliwego dostatku.

T. J. Choiński.

St. Aziel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Po jej oddaleniu cisza zalegała jeszcze przez chwilę.

Janusz strawiony niepokojem dni ostatnich, opadł w gorączce, z jaką pędził. A zachowaniem Ady znów rzucony w odmęty obaw, poglądał na nią, jak wędrowiec, który znużył się zwalczaniem ciągłych przeszkód, więc nie leci już przeciw nim ślepo, a raczej bada i rozważa, jakby rafy ominąć bez trudu i pokaleczenia.

— Chciałem w Wigilią przyjechać lub wczoraj — zaczął wkońcu, usiłując spokój zachować nawet w głosie, — lecz ty nie masz pojęcia, co się dzieje u nas, co za ogrom zajęć z powodu nowego roku, bilansu i zmiany między oficyalistami; a tak mało jest rzetelnej pomocy.

— Domyślałam się — rzekła ona krótko i cicho.

Oroński oczu nie zdejmował z jej twarzy, lubo źrenice pod rzęsą kryła.

— Chciałem przyjechać, bo nie pojmowałem, dlaczego mi nie odpisywałaś. Czemu nie doniosłaś, żeś chora? Byłbym musiał choć na pół godziny dostać się — mówił już przysuwając ku niej fotelik, ale hamując jeszcze uczucia, które w nim wrzały.

Ona ciągle płonęła i ciągle nie spoglądała.

— Bo nie mogłam — odparła.

— Jakto nie mogłaś? Czyś była tak bardzo chora, że niezdolna skreślić słów paru?

— Nie, nie, tylko nie mogłam.

— Listy twoje zawsze tak krótkie... Nie rozumiem — szepnął raczej do siebie.

Do tej chwili ani ręki jej nie pocałował, ani nawet ujął, poprzestając na pierwszem powitaniu. Teraz nieco ku niej się pochylił. Wzruszenie wzbierało.

— Ado, ty chyba nie wiesz, co to udręczenia serca, co to tęsknota — począł nagle. — Są ludzie tak szczęśliwi, że nigdy jej nie doznają, nie mają żadnego pojęcia o tem uczuciu. Ale inni, obronić się wprost nie mogą! Przychodzi nie wiedzieć zkąd, jak woń z powietrza wiewem, a tak ogarnie, przejmie, że człowiek oprzeć się niezdolny, że ugasić w sobie nie może pragnienia, by choć źdźbło, choć słowo mieć od istoty ukochanej, i znieść nie jest w stanie oddalenia, i tej niepewności, oczekiwań, niepokoju. Próżno umysł topi w cyfrach, w pracy, w jakiemś zagłuszeniu, tęsknota znajdzie zawsze chwilę, znajdzie jakąś szczelinę w mózgu, wciśnie się, zabierze, pochłonie, i dusza się rwie i serce za tem czego nie ma, o co się lęka, bez czego żyć nie umie.

Ada słuchała, wsysając jego słowa, a twarz jej zapłoniała się zwolna aż do purpury, pierś poczynała falować przyśpieszonym oddechem, oczy ognikami błyskać, lubo tonęły w dali, jak za widmem niedojrzanem.

— Ty widać nie wiesz, co to kochać tak bardzo i tak bardzo pragnąć — mówił z przejęciem, bo byłby chciał ramieniem objąć ją, do piersi przyciągnąć, tak mu się wydała cicha, pieściwa, a piękna, jak wówczas o świcie, gdy wykradać musiał jej spojrzenia, gdy siedziała obok senna, nieśmiała i wstydliwa, jak brzaskiem zrumieniona, a mgława jutrzenka.

Pochylał się, rozkosz go ogarniała. Zdało mu się, że przecież rozgrzewa ją, przenika wskroś ogniem swej miłości. Ręce jej ujął, niósł do ust spragnionych, pocałunku chcąc od niej, pocałunku.

Lecz ona drgnęła i zwróciła ku niemu źrenice wejrzeniem zmąconem. Rumieniec z jej lic odpływał, a pierś opadała.

— To on?... tylko on? — rozległo się w jej duszy.

Coś ukłóło ją w serce, po ciele dreszcz przebiegł.

— Ach, tamtego tak mieć u swoich stóp, czuć jego oddech blizko, jego silne ramię.

I uciekała myślą daleko, daleko, lecz tak była oszołomiona, iż nie cofała swych rąk z uścisku Janusza; a choć chwilami zacinała usta jakimś oporem i niechęcią, nim wszakże otrząsnęła się i na słowo zdobyła, kroki słyszeć się dały, i pokojowa weszła zapraszając do salonu, gdzie pani Męcka dawnym zwyczajem świątecznym, poczęła ich raczyć winem i wytwornymi przysmakami.

W godzinę zaś Janusz musiał odjechać.

XIV.

Gdy wszakże uniesienie minęło i Oroński począł na trzeźwo uprzytomniać sobie każdą chwilę jej zachowania się, małomówność, pomieszanie, wszystko poczęło dla niego urastać w jakąś gęstwinę zawiłych przypuszczeń i obaw, coraz wydatniejszych, w miarę jak chłodnął sam z gorączki, która mu wzrok w jej obecności zaciemniała.

Słów kilka zatem, jakie odebrał od Ady nazajutrz, padły jak oliwa na ogień.

„Nie mogłam mówić, jak przedtem nie mogłam pisać. Probuj za mną nie tęsknić, nie kochać mnie, bo wierzaj, nie ze mną twe szczęście."

— I cóż to jest?—zawołał po przeczytaniu. — Co to znaczy? Tam coś stało się, coś zaszło, czego nie przyznała. Nie! z takiemi kobietami, to zwaryować, to kulą skroń roztrzaskać!

Nie mógł wszakże jechać do niej natychmiast. W parę zaś dni zdobył pewne objaśnienia, które jednak wzburzyły go jeszcze bardziej.

W męzkiem towarzystwie posłyszał oto między nowinkami opowiadanie o zajściu z Romusem na ślizgawce, co oczywiście ktoś widział, a wielu przekręciło i ubarwiło. Z tym zaś faktem połączono inne, które widocznie czyjaś rączka umiejętnie i złośliwie powiązała i na koło młyńskie puściła; więc wzmianki o natarczywych konkurach inżyniera z Petersburga, o jakichś zajściach z Pietrem Vico, i z zapoznanym poetą z Galicyi, który bruk zbija w Warszawie byle w oczach panny Ady Smieńskiej natchnienia szukać. A lubo wszystko to w lekkim i eleganckim tonie obrabiali ludzie nader elastycznych pojęć o przyzwoitości i cnocie, którzy wnet poczęli przytaczać jaskrawsze anegdoty o innych pięknych damach, zwłaszcza owej Greczynce, stale już pod mianem „Psyche" znanej, nic wszelako nie zdołało złagodzić wstrząśnienia, jakiego doświadczył Oroński.

Myśli rozsadzały mu głowę, zwłaszcza że przypomniał sobie w dodatku przejście z Ockim, i przyjmowanie konkurentów na wsi, ból świdrował w sercu, i jakaś zazdrość dzika chwytała go chwilami w kleszcze. Jednakże, sam pierwej tak skłonny do tego, by wytykać jej zły kierunek życia i postępowania, teraz nie więcej ją oskarżał, w winy jej nie wierzył, we wszystkiem widząc tylko nieszczęsną nieostrożność i lekkomyślność; a w rezultacie cały bieg myśli skupił w tej jeszcze spotężniałej chęci, by ją zabrać na własność i przed ludźmi jak najprędzej módz osłaniać i bronić.

Postanowił też z Maryą rzecz zakończyć w pierwszej odpowiedniej chwili, ku czemu pomyślnie składały się same okoliczności, ponieważ zdrowie pana Roger było o tyle lepiej, iż wyjazd oznaczono, a Marya miała towarzyszyć ojcu.

Przedewszystkiem jednak pędził do Warszawy, rozbić ten rój obaw, które brzęczały mu w uszach, jak rój pszczół, przegryzając duszę ostremi żądłami.

Adę zastał samą, czego pragnął, a już nie milczącą i odrętwiałą, przeciwnie, zelektryzowaną tem, że Kościesza wyjechał; Niuta zaś, lubo niejasno, wyznała, że zupełnie poważne jego zamiary rozbiły się o coś, co go zraziło.

— Ja, widzisz, nic tego wszystkiego nie rozumiem, a Stefan nie chciał mi więcej powiedzieć— mówiła panna Kermeńska, — nie rozumiem, bo myślę, że jak się kto komu tak podoba na śmierć i życie jak do kochania, to już nic nie rozpatruje i nie widzi. Ja doprawdy nie chcę, by pan Stefan był o kruszynkę wyższy, piękniejszy, rozumniejszy... Mama pewno coś wybada i potem ci wytłómaczy — dodała w końcu.

Ada wszakże nie chciała, by ktokolwiek wznawiał tę sprawę, poprawdzie głęboko dotknięta i w ambicyi i nawet w pożądaniach serca. Albowiem ulegała do tego stopnia urokowi Kościeszy, iż była gotową związać się z nim bez żadnych wahań i zastrzeżeń. Przy takiem więc jej usposobieniu, burza łatwo wybuchnąć mogła, gdy Oroński stanął przed nią.

Ale on z góry postanawiał wielce panować nad sobą, aby gwałtownością nie wywołać z jej strony jakiego skoku i wybryku, i módz wybadać sprawę nie popadając w podejrzenie o zazdrość, a nie dotykając również jej miłości własnej posądzeniami.

— Jak sądzisz — zaczął tedy, wypytawszy kilkoma słowy o jej zdrowie, — czy słusznem jest, bym ja mniej wiedział o tobie, niż ludzie obojętni ci, a nawet często nieznani, którzy nadomiar chętniej cię ganią i obmawiają, niż bronią?

Ada zaczerwieniła się, zawahała.

— Nie, całkiem niesłusznie! — odparła jednak szczerze, lubo cicho.

— Więc widzisz! Trzeba mi było powiedzieć o zuchwalstwie tego jakiegoś studenta; miasto bowiem nie jest tak wielkiem, by cośkolwiek zginęło w niem bez rozgłosu, wobec ogólnego zwyczaju zajmowania się bliźnimi. A chyba domyślać się mogłaś, że tego rodzaju wieści krążące o tobie, mnie bolą.

Tu ona spojrzała żywo, śmiało, jakby zamierzając przeczyć.

— Powątpiewasz o tem? — łagodnie spytał Oroński, który oczu z jej twarzy nie zdejmował.

— Ach, nie!... Tylko, cóż w tem tak złego z mej strony. Czyżem ja winna? — rzekła dumnie wyginając swe ruchliwe usta, które w tej chwili były gotowe istotnie zaprzeczać.

Janusz spojrzał na nią, jak człowiek wytrawny patrzy na dziecko, gdy chce je samym wzrokiem i zastanowieniem doprowadzić do pomiarkowania i dobrowolnego uznania błędu.

— Co złego? Ado, pytasz naprawdę? — podjął po chwili. — Wiesz, najsmutniejszem złem byłoby to, gdybyś rzeczywiście nie rozumiała swoich postępków i ich znaczenia — dokończył zwolna.

Czasami pojąć nie mógł tego w niej zaniku, czy wrodzonego braku uczuć moralnych, poprostu braku moralnego zmysłu. Więc i bolał nad tem, i zastanawiał się i jeszcze chciał ją przenikać, jakby w nadziei, że w głębi duszy coś innego wykrzesze i znajdzie. Ale zarazem patrzył w nią z coraz wzrastającą dobrocią sędziego, który wprawdzie spełnia swój obowiązek, przedewszystkiem jednak pragnie to błądzące, umiłowane stworzenie jak najprędzej zabrać pod swą serdeczną opiekę, i tem żyje, że wie, iż je tak weźmie.

Ada pod wzrokiem jego spłonęła raz drugi, ale już nie z buntu, jaki w niej zrazu się podnosił.

Odczuła jego dobroć i pobłażliwość i tem więcej miękła, iż prawie uwierzyć nie mogła, że ten sam człowiek, który unosił się kiedyś z powodu Ockiego, choć nie miał wówczas żadnych praw nad nią, teraz przemawiał wyrozumiale, nie gromił, nie potępiał. Zarazem poczuła też w tej chwili i ową w nim siłę dla siebie tak ochronną i opiekuńczą, a poczuła tak wyraźnie, iż nagle byłaby chciała przygarnąć się do niego i wyznać wszystkie swoje myśli przewinienia, niepokoje.

Podniosła więc ku niemu oczy zawstydzona i lękliwa, wahająca.

Ale jego wzrok w tej chwili przesłoniła jakoby mgła.

Stojąc o kroków parę, albowiem od przyjścia bezustannie przechodził po pokoju, dla łatwiejszego opanowania się, i patrząc w nią, pomyślał:

— Jak ja szalenie jednak kocham tę kobietę, jak ja ją kocham, to pojęcie przechodzi!

I topniejąc tak w wezbraniu, które musiał poskramiać, w ślad zatem pomyślał dalej, ile już przez nią cierpi. Nagle sercem jego szarpnęła nawet ta zazdrość, gadaniami ludzkiemi obudzona, która mimo wszystkiego piekła.

— Ale słuchaj — podjął głosem nieco drżącym, — ale opowiadania o tym inżynierze, tym z herbowem nazwiskiem, którego narzeczony panny Kermeńskiej umyślnie przywiózł, by starał się o twoją rękę, nie są prawdziwe?

Ada śmiertelnie zbladła. On zaś wpił w nią wzrok, pod którym poruszyła się, jak motyl szpilką do miejsca przykłuty.

— Co?!... Są prawdziwe aż do tego stopnia, że zabiegi jego przyjmowałaś chętnie?

Tu ogień nagły oblał jej twarz, z oczu iskrami trysnął. Lecz rzekła śmiało:

— Prawdziwe w tem, że za tym człowiekiem byłabym szalała!

Teraz bladość kredowa powlokła Orońskiego rysy. Brwi ściągnął. Lecz jeszcze badał.

— *Byłabyś?* — powtórzył z naciskiem na tej formie warunkowej. — A więc dlaczegóż?

— Bo odjechał.

— I nie powróci?

— Nie.

Janusz odetchnął.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kalejdoskop Muzyczny.

Arcydzieła z przypadku.— Opery dla artystów.— Nasz dzisiejszy repertuar operowy.— Koloratura dawniejszych a teraźniejszych śpiewaczek — Dekoracye i wystawy sceniczne.

Śledząc historyę powstawania wszechświatowych arcydzieł, widzimy, jak często zrodził je prosty przypadek jedynie. I tak, słynne kościelne utwory *Cherubiniego* nie byłyby ujrzały światła dziennego może nigdy, gdyby nie to, że artysta, zniechęcony niepowodzeniem, jakiego doznała opera jego, *Pigmaljon*, wystawiona na dworze wrogo dlań usposobionego Napoleona I-go, nie udał się na odpoczynek na wieś, do majątku ks. de Chimay, gdzie postanowił zerwać zupełnie z muzyką, i namiętnie oddał się szczególniejszej rozrywce: rysowaniu piórem na kartach różnych scen i postaci, których oś główną stanowiły piki, kara, trefle i kiery. Zajętemu w ten sposób mistrzowi nic przez czas pewien nie przypominało wzgardzonej muzy, gdy wtem któregoś ranka zaskoczyła go nagle prośba nietylko ze strony ks. Chimay lecz i całej gminy o napisanie mszy, celem uczczenia uroczystości św. Cecylii. Odmówiwszy zrazu kategorycznie, artysta zaczął stopniowo coraz mniej czasu poświęcać rysunkom, a coraz więcej samotnym długim wycieczkom i rozmyślaniom, owocem których było *Kyrie* i *Gloria* słynnej mszy, wykonanej w oznaczonym terminie na wsi, a skończonej i uzupełnionej za powrotem mistrza do Paryża. Zachęcony niezwykłem powodzeniem tej pracy, Cherubini skomponował w jakiś czas później *Requiem*, *Mszę na namaszczenie króla Karola X-go*, oraz mnóstwo innych cennych utworów kościelnych, cenionych w całej Europie po dzień dzisiejszy, gdy tymczasem opery jego zeszły z repertuaru już dawno.

Arcydzieło, które utrzymało dotąd na widowni nazwisko mało zresztą przedtem znanego kompozytora XVIII-go w. *Gossec'a*, psalm na trzech stronach *O salutaris*, powstał w ciągu godziny, podczas śniadania, na żądanie proboszcza wiejskiego w Chennevières. Zaniepokojony nieprzybyciem na czas zamówionych muzykantów, zwrócił się on do bawiącego u niego chwilowo kompozytora z prośbą, o wyratowanie go z kłopotu. Gossec dla trzech śpiewaków, których przywiózł ze sobą, napisał ów psalm wiekopomny, wprowadzający słuchaczy w zachwyt dziś jeszcze.

Przykładów podobnych naliczyć by można tysiące. W dziedzinie muzyki powtarzają się one stokroć częściej, aniżeli w każdej innej; powodzenie utworów muzycznych bowiem z natury rzeczy związane jest z całym szeregiem warunków zewnętrznych, z któremi nie potrzebuje liczyć się poeta ani malarz lub rzeźbiarz. Najgenjalniejsze pomysły kompozytora maleją, lub zacierają się w nieudolnem odtworzeniu. Poeta i mistrz pędzla lub dłuta ma do zwalczenia co najwyżej niechęć lub przesądy publiki, będąc jednak sam tłómaczem natchnień swoich, nierównie prostszą i łatwiejszą drogę ma do przebycia, aniżeli muzyk, wcielenie intencyi i pomysłów którego, zależy od sił, środków i dobrej woli wykonawców. Do dziś dnia słyszymy o partycyach operowych, pisanych dla sławnych śpiewaków wyłącznie. Najpoważniejsi kompozytorowie nie mogli ustrzedz się tego. Powszechnie wiadomo np., że arja w 3-ciem akcie *Fletu zaczarowanego Mozarta* zastosowana była jedynie do wyjątkowego głosu p. *Aloizy Weber*, w której kochał się mistrz za lat swoich młodzieńczych, pojąwszy następnie za żonę jej siostrę. *Orfeusz Glucka*, ułożony początkowo na alt *Guadagniego* w Wiedniu przerobiony został później na wysoki tenor *Le Gros*, na czem całość straciła wielce; rola Orfeusza bowiem bezwarunkowo powinna być odśpiewana altem, by nie zatracić charakteru smętnej melancholji, stanowiącej czar jej główny. *Hektor Berlioz* pojął to, wystawiwszy operę Glucka z rolą Orfeusza w pierwotnym jej układzie, dzięki czemu *Viardot Garcia* mogła zdobyć nią sobie niebywałe powodzenie.

W pierwszej połowie XVIII-go w. nizkie głosy kobiece należały do rzadkości. Znany podówczas kompozytor *Campra*, poznawszy pyszny kontralt p. *Maupin* stworzył dla niej jedynie rolę Kloryndy w operze swej *Tankred*, jemu więc Francya zawdzięcza usłyszenie po raz pierwszy ze sceny niewieściego kontraltu.

Z nowszych kompozytorów wiadomo ogólnie, że *Donizetti* nietylko pisał niektóre partycye dla *Duprez'a* wyłącznie, ale prócz tego w wielu razach kierował się radami i wskazówkami śpiewaka. W scenie konania Edgara w Łucyi np. kompozytor jedynie za namową tenora ułożył na wiolonczele akompaniament do zamierających zwolna skarg bohatera, co podnosi niezmiernie efekt całości. *Meyerbeer* rolę Bertrama w Robercie Dyable napisał pierwotnie na baryton i dopiero, później, niezadowolony z niej, przerobił ją na bas słynnego *Levasseur'a*.

O *Rossinim Hanslick* powiada, iż twórczość jego rozwinęłaby się nierównie poważniej, gdyby nie to, iż muzą jego była p. *Colbran*, artystka o przekwitłym już nieco głosie, nie nadającym się do szerokiego dramatycznego śpiewu, nacechowanym natomiast niezrównanym wdziękiem i błyskotliwością. Wykonanie jej było mistrzowskie ale nie głębokie.

„Cóż dziwnego, iż muzyka Rossini'ego przybrała wkrótce wszystkie zewnętrzne cechy ukochanej?" — woła Hanslick. Pisać dla niej, w jej duchu, uwydatnić najwybitniejsze cechy jej talentu, stało się niemal prawem twórczości mistrza, prawem, tem więcej obowiązującem, im bardziej dwa te umysły łączyła wspólność charakteru i upodobań. To też od czasu osiedlenia się genialnego muzyka w Neapolu, gdzie poznał p. Colbran, późniejszą swą żonę, muzyka jego goni za błyskotliwością i ozdobami, aż do przesady. Kto wie, co stałoby się z talentem jego, gdyby zamiast koloraturowej Colbran dramatyczna *Pasta* stała się panią jego serca?

Tak twierdzi Hanslick. Współczesny mu Francuz *Clément*, krytyk i autor wielu dzieł z dziedziny muzyki, zapatruje się na kwestyę tę z wręcz przeciwnego stanowiska.

Przypisując wpływowi p. Colbran powstanie dziewięciu najdramatyczniejszych oper Rossiniego: Otella, Armidy, Mojżesza, Semiramis i innych, autor dodaje:

„Artystka ta, obdarzona wielkim talentem *liryczno-tragicznym*, rzuciła czar na mistrza z Pesaro. Dla niej to skomponował duże i najbardziej charakterystyczne partycye Armidy, Desdemony, Elżbiety i innych."

Widzimy więc, że to, co krytyk niemiecki, gorący wielbiciel Boïeldieu i Auber'a, uważa za płytkie i błyskotliwe, to francuz mianuje tragiczno-lirycznem.

Podobną różnorodność sądów spotyka się w książkach muzycznych niestety aż nadto często. Czytając je bez własnych podstaw, opinii i zasad można wpaść nieraz w labirynt bez wyjścia.

Za czasów twórczości Rossini'ego, który milczał przez 40 lat swego życia, dramat muzyczny był dopiero w zawiązku, samego zaś mistrza uważano za nowatora choćby dlatego, że w op. *Sroka złodziej*, wystawionej 1821-go r. w Paryżu, odważył się wprowadzić do orkiestry po raz pierwszy bęben, ku wielkiemu zgorszeniu konserwatystów.

Jakiekolwiek cechy zechcemy przypisywać twórczości śpiewaka z Pesaro, faktem niezbitym jest, że $^1/_4$ prac swoich dokonał pod wpływem pierwszej żony, którą porzucił wkrótce dla p. Desenilliers poślubionej przez mistrza po śmierci niezwykle pięknej i dobrej Elżbiety Colbran. (Dowodem jej dobroci choćby to tylko, że pomimo rozłączenia, zapisała mężowi w testamencie cały swój majątek).

(Dokończenie nastąpi).

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Iюня 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**